

JÓZEF LASOŃ.

Z NIEWOLI.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

X.

Kuglarz, figlarz, komik-artysta i żołnierz polski w jednej osobie — to Kuba. Przeróżne sztuki na kwaterach pokazywał, które w podziw wprowadzały przypatrujących im się żołnierzy. Rzucanie czterema bagnietami i chwytanie ich za klingę — to zwykle początek przedstawienia oznaczało. Następnie sztuki z karabinem, rozmaite figle skaczącej czapki strzeleckiej, rozweselały żołnierzy. W zapasie zawsze posiadał sporo komicznych monologów, dekadencek deklamacyi, dowcipów chudych i tłustych. Niech tylko rozdziawił komicznie swoją gębę — patrząc na nią — mimowoli człek śmiać się musiał, a cóż dopiero, gdy „sypać“ zaczął „kawały“, od których boki pękały — jak mnie uroczyste zapewniał kucharz kompanijny, który był jego serdecznym przyjacielem.

W niedługim jakoś czasie do naszej kompanii został przydzielony, jako pomocnik kucharza, a to dzięki staraniom głównego kucharza, który Kubę chciał mieć przy sobie. Po załatwieniu wstępnych formalności, zgłosił się wreszcie do mnie z prośbą wystawienia legitymacji wojskowej i stanu służby.

— Jak się nazywacie?

— Kuba!

— Aha! — przypomniałem sobie — to ten protegowany przez kucharza artysta-kuglarz. Kuba imię, a nazwisko?

— Ta, obywatelu. Ta to jest imię, ta to jest nazwisko, ta to jest pseudo.

— Nie rozumiem.

— Ta, ja proszę tylko samo moje pseudo napisać. Nazwiska mojego nikomu nie powiem. Ta, ja chcę umrzeć nieznany.

Popatrzyłem mu w twarz. Regularne rysy, prawie że błękitne oczy, sympatyczne robiły wrażenie. Usta cośkolwiek grymasem skrzywione, odcień jakby ironii lub zniechęcenia ukrywały.

— To jakaś tajemnica rodzinna — roześmiałem się — królów uciekł staremu królowi i boi się odkryć nazwisko.

— Ali nie. Ta postanowiłem sobie, aby nikt nie wiedział i nikt wiedzieć nie będzie. Jak jestem Kuba, tak się nikt nie dowie.

Kucharz podrapał się po głowie i, patrząc uśmiechnięty na Kubę, rzekł:

— Kuba zamierza wiele czynów walecznych spłodzić, jako rycerz Zawisza Czarny, nieznany, pełen trwogi i tajemniczy...

— Ta ci pieron do tego — odzart się gniewnie Kuba — co ja będę płodzić, byleby płodził, i czy Zawiszę będę czarnym, czy białym. Ta idź do cholery, a was proszę obywatelu o kartę wojskową.

Wystawiłem kartę z numerem porządkowym, przywaliłem pieczęć batalionu i wręczyłem Kubie. Podziękował, czapkę sprężył przez nogę przerzucił pod sufit kwatery, a kiedy wpadła mu na nadstawioną głowę, równocześnie zasałutował. Zrobił to tak zręcznie i komicznie, żem uśmieł się z tego nie mało. Wykreślił się na piętach i z podniesioną głową wyszedł z kwatery. Dobiegł go kucharz, pogodzili się jednakże zaraz, gdyż ujęli się pod pachy i jak czuła para w stronę dymiącej kuchni podążyli.

Żołnierze, którzy znali już Kubę z poprzednich występów, przywitali go gromkimi okrzykami, ciesząc się, że kompania będzie miała swojego „hucownika“, jak go niektórzy nazywali. Z miną Napoleona wkroczył do środka, wzrokiem Sherlocka Holmesa popatrzył po kotłach, zbadał uważnie gotującą się strawę, pomieszał chochlą, spróbował trochę rosół wołowego, poczem patrząc wyniośle, cedząc słowo po słowie przez wpół zamknięte usta, wydał wyrok:

— Rycerze, to jest świństwo, ja wam same marcypany gotować będę. Kucharz, to jest mój kolega, najpierw buty smalcem smaruje, a potem ziemniaki wam maści. Krzyknijcie mu po trzykroć „Hańba!“

— Ale nie — sprzeciwiły się głosy — nasz kucharz, to klawy obywatel, byczo daje jeść.

Kuba został pomocnikiem kucharza. Mir miał wielki, porządek przy wydzielaniu śniadań, obiadów trzymał ostro, w marszach i potyczkach zaś uciekał od kotłów, karabin w mocne łapy brał i szedł do „jarki po świninę“ — jak sam mawiał. — W pierwszych dniach, gdy się dostał za kuchcika, posądzali

go o brak odwagi i że dlatego do kotłów wlaź. Ale Kubuś, przy trenie będąc, nieraz o kilkanaście kilometrów od linii kotły nastawił, mięsa przygotował i gdy się „menaż“ gotowała, nawdziawał widelec (bagnet) na karabin i do ognia szedł.

Figle i żarty nigdzie go nie opuszczały. „Mo chom“ niejednego figla wypłatał, wprowadzając ich w zdumienie. Umiął dobrze po rosyjsku, nieraz też nocą podpełzał pod okopy i namawiać ich zaczął do pójścia w niewolę. Brzuchomówcą był — zmienić głos potrafił, tak, że nieraz zdawało się, że tam pół tuzina Kubów rozmawia z Moskalami. Nie podchodził jednakże za bardzo blisko do nieprzyjaciół, gdyż ci nieustannie razili kulami, gdy tylko kogoś spostrzegli. Ale Kuba umiał się dobrze urządzać. Jak wąż pełz ku nieprzyjaciółom, naturalnej zasłony szukał: krzaka gęstego, pagórka, odłamu skalnego. Znalazłszy, tubę tekturową z tornistra wyciągał i dalej grać... jak gramofon. Setny... gramofon. Żołnierze pękają ze śmiechu, ryczą jak bawoły, a Kubuś pod okopami Moskali leży i wygrywa: monologi, pieśni, dyalogi i t. p. rzeczy. W monologach nawołuje, aby się poddawali, to znów drwi z nich, beszta ich pół po polsku, pół po rosyjsku. Początkowo nie wiedzieli Moskale, co to ma znaczyć. Sądziło, że w okopach naszych jest gramofon, na którym wygrywamy rozmaite kawały. Ale się zasypał sam Kuba, klnąc ich pewnej nocy ordynarnymi słowami, które bezwarunkowo do gramofonu się nie nadawały.

— Wot... sukin...syn igrajet! — rozległy się głosy — Taż to trąbkę ma.

— Tak... tak... — przedrzeźniał im i zaczął w jeszcze ordynarniejszy sposób przez trąbkę wymyślać.

Sypnęli salwą strzałów, w stronę dochodzącego ich głosu, nasi wzajemnie pozdrowili ich kulami, póki Kuba nie przyczoił się z nieocenioną trąbką gramofonową.

Nieraz w nocy cisza śmiertelna panuje, pozornie śpi wszystko, jak gdyby walka zupełnie już z tych okolic się wyniosła, a tu wśród ciszy słychać nagle głos gramofonu, grającego „Boże coś Polskę“ lub „Jeszcze Polska nie zginęła“. Potem wyjątek z opery „Zydówki“, „Racheli“, w końcu „Oda do Moskali“ — pełna humoru i dowcipu, wreszcie pożegnanie. Moskałe nadstuchują, poczynają krzyczeć:

— Sokolyk... sukinsyn... igrajet!...

A trąbka klnie im, wymyśla, tak, że wreszcie zgniewani zamilczają, postawszy parę tuzinów kul, jakby groszy kilka dla grajka za muzykę.

Manekina raz wypchał. Stary mundur wypenił słomą i szmatami, do rękawa przyczepił szmaty kawał białej, nocą wyciągnął go na pagórek, zagrał marsza powitalnego i do swoich wrócił. Moskale posłyszeli „sokolyka-grajka“ dalej kulami prac w manekina. Wiatr poruszył białą przyczepioną szmatą, zaprzestali ognia i żywcem do niewoli chcieli wziąć grajka. Niestety... zabrali manekina, którego ze złości w strzępy potargali.

Kuba zaś wystawiwszy trąbkę z okopu przemówił:

— Sokolyky grajka macie? He? Tra... ta... ta... ta... Tra... ta...

Humor bajeczny miał. Przeskrobał nieraz coś, uszło mu płazem, bo wykreślić się umiał, zawsze znalazł jakąś okoliczność łagodzącą, nieraz jedno słowo ratowało go od „szpang“ i innych kar żołnierskich. Dość było popatrzeć na jego skruszoną minę, aby z gniewu przejść do rozpaczenia oblicza. Stawał do raportu batalionowego, z góry powiadał mu, że teraz, to już z pewnością najmniej „4 godziny szpangi“ go czeka, on się tylko uśmiechnął, zapewniając, że „ta jemu nic nie będzie“. Porucznik Dziekanowski, kompanijny jego, nieraz mu kładł do uszów, obiecywał srogo ukarać, jak jeszcze raz co zwojuje. On z pokorną miną słuchał, poczem zapewnił uroczyste, że to mu się po raz pierwszy i ostatni zarazem wydarzyło, że już nigdy nic nie uczyni... ta... chyba po śmierci! Naciągał strunę, aż wreszcie nie pomogła mu nawet i jego mina najuczciwiej skruszona, struna pękła, Kuba „szpangi zafasował“.

Było to po odwróceniu z Nadwórnej, w miasteczku D. Pod wieczór przemaszerowały bataliony, rozlokowano żołnierzy po kwaterach, zakazano surowo po godzinie szóstej być komukolwiek na mieście. Rozesłano patrole, rozstawiono placówki. Kompania Dziekanowskiego dostała kwaterę w stodole, w której zimno było, jak na Oceanie Lodowatym. Deszcz ze śniegiem przez otwory w dachu wpadał do środka, na twarze żołnierzy, którzy wkopani w siano, głowy jeno wystawiali z siana, aby się nie podusić. Kuba w kącie obrał legowisko, z butami wkopał się w siano i dalej rozweselać zmarzniętych żołnierzy. Chwalił swoje miejsce, że ciepłe i nic nie pada mu na łeb. Ale niedługo to trwało. Zerwał się po chwili, wy-

klinając, narzekać zaczął, że po ścianach stodoły masa wody spływa i podlewa go, a on nie ryba, ani żaba, aby spał w wodzie. Współczujące głosy poczęły go namawiać, aby się do nich przeniósł, ale on dziękując, odmówił, twierdząc, że królewskie będzie miał spanie.

— Gdzie, tu w stodole? — ciekawie pytali.

— Ta skąd w stodole? — odparł wyniośle — ta, czy ja jestem osioł, albo krowa, albo koń, abym w stodole spał? W mieszkaniu, w ciepłym pokoju, pod pierzynką, takie królewskie będę miał spanie.

— Tylko nie dziś!

— Właśnie, że dziś. Zaraz idę w miasteczku poszukać.

— Nie wolno. Zresztą warty chodzą, aresztują zaraz, będziesz miał spanie w szopie jakiej pustej, jak cię złapią.

— Ta kogo, mnie?

— Ciebie!

— Ta, ja jestem kucharz, to do mnie się rozkaz dzisiejszy nie tyczy. Idę, powiem, kuchnię na rano przygotować i basta.

Chyłkiem wyszedł z kwatery, w stronę miasteczka podążył. Pozostali, jedni z radością patrzyli na Kubę, drudzy zaś z politowaniem, że z pewnością zamknięty zostanie. Ale Kubuś pogwizdując, nie zważał na nic. On nie żaba, nie ryba, w wodzie spać nie będzie i basta.

W pół do siódmej wieczór tegoż dnia, w pokoju kwaterowym porucznika Dziekanowskiego, zarazem inspekcyjnym oficerskim, przedkładałem rachunki kompanijne por. Dziekanowskiemu, kiedy warta przeprowadziła jakiegoś aresztanta. Kompanijny kazał go do pokoju wprowadzić poczem sekcyjny Zjadacz zaraportował, że spotkał i aresztował żołnierza tego na mieście, według rozkazu danego wieczór. Kuba, wyprężony jak struna, w wyczekującej postawie stanął przy drzwiach, patrząc raz na mnie, drugi na Dziekanowskiego.

— Co z wami znowu jest? — ostro spytał Dziekanowski.

— Ta ja chciałem się z narzeczoną pożegnać, bo ja czuję, że jutro umrę.

Powiedział to takim tonem, że wargi przygryzłem do krwi, aby się nie roześmiać.

— Tu macie narzeczoną? Jak śmiecie cyganie w tak bezczelny sposób. Rozkazu nie czytano wam?

— Ta... ja... chciałem...

— Milczeć! Cztery godziny szpangi, areszt do rana. Jutro do zbadania lekarskiego, ewentualnie do domu waryatów was każę odstawić! Odprowadzić!

— Obywatelu poruczniku! — nieśmiało wtrącił.

— Co jest?

— Ta... ja wszystko odcierpię, tylko proszę się na mnie nie gniewać, gdyż ja obywatela porucznika bardzo kocham...

— Odprowadzić!

Tak więc Kubuś szpangi dostał. Zmartwiło go to srodze. Zaraz rano do mnie przybiegł z prośbą, abym go od tego domu waryatów ratował i od gniewu porucznika.

— Ta obywatelu, ja wiem, że wy mi to zrobicie. Ja sam nie wiem, czemu obywatel Dziekanowski gniewa się na mnie, kiedy ja go tak kocham.

— Jeszcze się śmiecie pytać? Ciągłe na was skargi, więc musi być do was uprzedzony. A w takim wypadku, to ani wasze kochanie nie pomoże!

— A czy on może mnie na prawdę zamknąć do domu waryatów?

— No tak... Zda raport batalionowemu, pomówi z lekarzem... i już po was — nastraszyłem go.

— Ta ja się poprawię — odrzekł, skrobiąc się po głowie i zmartwiony udał się do kuchni.

Od tego czasu, rzecz można, nie stanął już do raportu. Figle po dawnemu płał, jednak służby pilnował, nie opierał się rozkazom. Brzuchomóstwo pielegnował, mówiąc, że najprzyjemniejsza dla niego rzecz, to przez tę trąbę wymyślać Moskałom i marsze żołnierzom wygrywać. Zwali go przeto Kuba, herbu trąba, artysta-brzuchomówca. W dniach trudów i chłodu wielu żołnierzy rozweselił, bądź to opowiadaniem, bądź też ucieśzną swoją miną. Bo kompania, każdy nawet pluton, to jakby jedna jakaś wielka rodzina, lub stowarzyszenie, gdzie oprócz trosk, zmartwień, niepowodzeń — wesołości i szczęścia czasem chwila. Człowiek, stając się żołnierzem, przestał myśleć o dniu wczorajszym i przyszłym, żył tylko chwilą obecną i tem, co ona dawała. — Rano z przyjacielem ze wspólnej menażki jadło się śniadanie — wieczór przyjacielowi grób trzeba było kopać. Rzekłbyś, jak kwiaty zrywane w ogrodach, tak śmierć zrywała z szeregu przyjaciół-żołnierzy. Nie myślano jednak o tem, każdy miał tę pewność, że wróci. Nikt w głębi ducha, choć inaczej mówił, nie myślał o śmierci. Padł który, już ci mu koledzy jamę wykopali, w koc ciało zawinęli, jeśli miejsce